
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Grażyna Świątecka – *Wspomnienie o Mamie*

Sybiracy – o każdej osobie, o każdej rodzinie deportowanej w czasie drugiej wojny światowej w głąb byłego ZSRR można by napisać osobną historię nabrzmiałą dramatycznymi wydarzeniami, historię naznaczoną cierpieniem fizycznym i jeszcze bardziej bólem duchowym. Nawet szczegółowe opisy wspomnień Sybiraków nie oddadzą traumy ich przeżyć. I nie opowiedzą ich ci, którzy stracili tam życie. Kto wypowie cierpienie matek, które umierały osierocając małe dzieci, ojców oddzielonych od rodziny, od Ojczyzny, ginących w łagrach czy rozstrzeliwanych w celach kazamatów katyńskich. Jak opowiedzieć cierpienia dzieci, których matka nie wróciła do „domu” (baraku, lepianki) z wyprawy po chleb czy umierała z wycieńczenia i głodu w ich obecności. Ja miałam to szczęście, że moja matka była zawsze ze mną, przy mnie, chroniąc mnie, moje życie i życie mojego ojca na zsyłce w przepastnych lasach tajgi, w obwodzie archangielskim.

O Niej właśnie chcę pisać, chociaż wspomnienia z tamtych lat, widziane oczyma kilkuletniego dziecka nie są już tak wyraziste, pomimo iż w moim domu rodzinnym, po powrocie do Polski, stale były one przywoływane.

Moja matka Emilia urodziła się 27 marca 1907 roku jako córka Franciszka Wendekera i Marii Cisło, w Małopolsce, we wsi Szenangier (po wojnie Orłów) koło Mielca. Była trzecią z kolei córką, obok starszych Jadwigi i Stani-

sławy oraz młodszej Anny. W wieku 9 lat osierociła ją matka i to w przededniu 1-szej Komunii św. Mała Miła poszła na tą uroczystość w białej sukience przepasanej czarną szarfą. To jakby zapowiedź zmagania się z przyszłym trudnym życiem. Jeszcze w swoim dorosłym życiu opowiadała mi o tych przeżyciach ze łzami w oczach. Później sieroce dzieciństwo i stały niedosyt miłości rodzinnej przy boku drugiej żony ojca. Na szczęście dość zasobne gospodarstwo rolne mojego dziadka Franciszka z niemałym wkładem posagowym babci Marii pozwoliło na zapewnienie trzem córkom średniego wykształcenia. Emilia rozpoczęła edukację w 1914 roku w czteroklasowej wiejskiej szkole powszechnej, a po jej ukończeniu przeszła do trzyletniej tzw. Szkoły Wydziałowej w Mielcu, by w 1921 rozpocząć naukę wraz z siostrą Stanisławą w prywatnym Seminarium Nauczycielskim im. Królowej Jadwigi w Tarnowie. W 1926 roku uzyskała świadectwo dojrzałości i wraz z nim prawo do pracy w zawodzie nauczycielki. Próby znalezienia zatrudnienia w rodzinnej Małopolsce nie powiodły się, ponieważ był tu pewien nadmiar nauczycieli. W zaborze austriackim bowiem dostęp do edukacji i to w języku ojczystym, polskim, był ułatwiony. Natomiast w dawnym zaborze rosyjskim prawie nie było nauczycieli wykwalifikowanych, a nauczanie w szkolnictwie powszechnym powierzano niejednokrotnie osobom nie posiadającym nawet matury. Moja Mama wraz z siostrą Stanisławą otrzymały propozycję pracy w powiecie ostrołęckim, we wsiach Gleba i Kamionowo.

I tak znalazły się na Kurpiach. Status ekonomiczny i kulturalny, a także rolnictwo było tu na znacząco niższym poziomie w porównaniu ze wsią małopolską. Analfabetyzm był dość powszechny wśród rolników także z tzw. wsi szlacheckich, których mieszkańcy szczylicili się posiadaniem rodowodu herbowego.

Wobec tej spuścizny zaboru rosyjskiego, tj. analfabetyzmu wykształcona nauczycielka z Małopolski stawiała na piedestale tamtejszej społeczności. Wymagało to od niej postawy „Siłaczki”.

W 1929 roku Emilia Wendekerówna wraz z siostrą otrzymały pracę w siedmioklasowej szkole powszechnej w Myszyńcu, nieoficjalnej stolicy Kurpi, z historią sięgającą XVII wieku. Tu, w Myszyńcu, Emilia poznała swojego przyszłego męża, Witolda Świąteckiego – mojego Ojca. Dla niego posada w szkole myszyńskiej była już też kolejnym, po Goworowie, miejscem pracy nauczycielskiej. Ojciec mój, po przedwczesnej śmierci swojego ojca Henryka, zmuszony był przerwać studia w Warszawie, by utrzymać rodzinę – matkę Rudolfinę i młodszą siostrę Danutę.

Ślub Emilii i Witolda odbył się w lutym 1933 roku w kościele parafialnym pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej w Myszyńcu. Tego dnia szalała burza śnieżna. Burzliwe też miało być ich życie. Małżeństwo i później macierzyństwo nie kolidowało z pracą zawodową i społeczną mojej Mamy. Umiała to wszystko pogodzić dzięki pracowitości, uzdolnieniom, także organizacyjnym. W latach 30. ukończyła wyższy kurs nauczycielski z zakresu geografii. Działała i przewodniczyła oddziałowi Polskiego Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet w Myszyńcu. Była inicjatorką wielu akcji społecznych w tym przedszkola dla dzieci z uboższych rodzin. Razem z mężem byli zaangażowani w działalność Polskiego Związku Zachodniego. Ta działalność na rzecz obronności i polskości miała bardzo ważne znaczenie w pogranicznym miasteczku jakim był Myszyniec, odległy zaledwie o 7 km od granicy pruskiej. Pozostawanie na miejscu z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej zagrażało życiu

rodziców. Ich nazwiska były bowiem na liście Polaków do likwidacji przygotowanej przez tzw. V kolumnę (wywiadu niemieckiego), która jak się okazało działała także na terenie Myszyńca. Zaczęła się tułaczka wojenna – przez Warszawę, Hubczyce pod Wołkowyskiem, gdzie pracowała jako nauczycielka młodsza siostra mojej matki Anna, aż do Łomży. W ten sposób znaleźliśmy się na terenie okupowanym przez sowietów, nazwanym przez nich zachodnią Białorusią (zapadnaja Biełoruś). Rodzice zostali zatrudnieni jako nauczyciele w szkole powszechnej z językiem polskim w Małym Płocku, pod Łomżą.

Wiosną 1940 roku przenieśliśmy się do Łomży. Tu 29 czerwca o godz. 2 w nocy do naszego mieszkania wtargnęli uzbrojeni bolszewicy. Przyprowadził ich znajomy rodziców – Żyd. Moja Mama zwróciła się do niego oburzona „jak panu nie wstyd”. Odpowiedzi nie było. Pozwolono zabrać jedynie rzeczy najbardziej potrzebne, w tym żywność, która uratowała nas od głodu w czasie deportacji do ZSRR. Bolszewicy przekonywali nas, że jedziemy do Warszawy w ramach łączenia rodzin, tam bowiem mieszkała matka mojego Ojca. To kłamstwo powtarzali także wtedy, kiedy pociąg zbliżał się do przedwojennej granicy Polski z ZSRR, a nawet po jej przekroczeniu w Stołbcach. Skład pociągu, którym nas wieziono był długi – kilkadziesiąt wagonów towarowych. Do każdego wagonu włączano około 70 osób. Wszyscy byli uciekinierami polskich terenów okupowanych przez Niemców.

Warunki przewozu deportowanych były bardzo ciężkie. Dopiero po kilku dniach jazdy pociągiem dostarczono nam żywność – chleb, słoną rybę i gorącą, przegotowaną wodę (kapatok), którą też podawano wcześniej. Po około 3 tygodniach pociąg dotarł do Archangielska. Tam załadowano nas na barki. Zapamiętałam jak trzeba było przechodzić z lądu na barkę po bardzo wąskiej kładce bez poręczy i grozę w oczach Mamy, która mnie prowadziła. Rzeką Dźwiną Północną dopłynęliśmy do miasteczka Jemieck, oddalonego od Archangielska ok. 200 km, a stamtąd 60km w głąb tajgi na posiołek (liesopunkt) Łomowatoje. Dorośli szli pieszo, a rzeczy i małe dzieci wieziono końmi. Dotarliśmy tam 15 lipca 1940 r. Powitało nas tu gorące, kontynentalne lato i białe noce. Przez jakiś czas nocowaliśmy pod gołym niebem bo baraki, do których mieliśmy się wprowadzić były dosłownie wytapetowane pluskwami i trzeba było je oczyścić. Po krótkim czasie przeprowadzono nas na kolejny posiołek – Niawrus. Początkowo Ojca zatrudniono jak pomocnika kowala, następnie przy wyrębie lasu. Także Mama pracowała ciężko fizycznie jako „bańszczyca”. Przygotowywała „banię” (saunę) dla mieszkańców posiołka codziennie przenosząc z jeziora do bani około 200 kublów wody, rąbała drzewo i paliła w piecu.

W walce o przetrwanie rodziny na zsyłce główna rola przypadła Mamie. Z narażeniem życia docierała do kołchoźnianych wiosek, by zdobyć trochę żywności dla rodziny. Przemierzała samotnie kilometry leśnych dróg, niebezpiecznych w każdej porze roku. W czasie śnieżnych zawiei i wiosennych roztopów. Kiedyś trzaskał lód pod jej stopami na środku jeziora, kiedy indziej zagubiwszy drogę, cudem tylko odnalazła ją pośród gęstwiny dziewiczej tajgi.

Ojca szybko wyczerpała nadmierna praca przy wyrębie lasu i głód. Pracowano nawet przy temperaturze niższej niż minus 30 st. Ojciec tracił nadzieję, był wycieńczony, zapadł na kurzą ślepotą, załamał się. Przetrwał dzięki Matce, która pomimo niedożywienia, głodu i ciężkiej pracy była bardziej wytrzymała. Jakaś niepojęta moc wewnętrzna ujawniała się przez kobiety, które walczyły o życie swoich najbliższych, mężów, dzieci.

Zesłańcy to ludzie najniższej kategorii. Zabijano w nas wszelką nadzieję. Powtarzano nam, że jesteśmy tu na zawsze, („na wiegda”) i że trzeba zapomnieć o powrocie do Polski, bo tu „zdechniemy” („wy zdies podochnotie”). Zesłańcy umierali z głodu i z chorób, które przecież można byłoby wyleczyć. Przydział dziennej żywności to 200 gramów mokrego chleba i wodnista zupa rybna („ucha”). Najciężej było samotnym matkom z kilkorgiem dzieci. Ich mężowie byli więzieni w łagrach, bądź zginęli na wojnie lub los ich był nieznan. Z naszego posiołka wszystkie dzieci wróciły do Polski, choć nieraz bez matek, bo te umierały właśnie z wycieńczenia, z głodu. Stałe niedożywienie sprawiło, że rozwój fizyczny tych dzieci był opóźniony, a wiele z nich nie osiągnęło wzrostu swoich rodziców.



Posiołek Niawrus w lasach tajgi, obwód archangielski (1941 r.).
 Pierwszy rząd, dzieci: Tadzio Kotulecki, Alinka Frąc, Basia Frąc,
 Czarek Kotulecki, Grażynka Świątecka; drugi rząd: Januszek Klementowski,
 Stefania Klementowska, Stefania Frąc, Wanda Kotulecka, Emilia Świątecka;
 trzeci rząd: Irena Bronowicz, Lilka Kotulecka, NN.

Porozumienie emigracyjnego Rządu Polskiego z rządem sowieckim w 1941 roku na krótko odmieniło los zesłańców na północy ZSRR. Ogłoszono amnestię. Do portu w Archangielsku przyplływały statki z USA z żywnością i ubraniami dla Polaków. Te dary docierały do posiołków i były rozdzielane przez ustanowionych przez społeczność polską mężów zaufania.

Wiosną 1943 roku musieliśmy się rozstać z Ojcem. Najpierw zabrano go na tzw. obronne roboty do Archangielska. Zginąłby tam z głodu i wycieńczenia, gdyby nie został wcielony wraz z innymi polskimi zesłańcami do tworzącej się w Riazaniu nad Oką I Polskiej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki.

Zostałyśmy same z Mamą, ale już nie na posiołku tylko w miasteczku nad Dźwiną, w Jemiecku. Mama zachorowała na zapalenie opłucnej, najpewniej gruźlicze. Pani profesor z Instytutu Medycznego w Archangielsku zaleciła jej „usilnoje pitanie” – intensywne odżywianie, a nam dokuczał głód. Mama, nękana chorobą, ze stanami podgorączkowymi zdobywała pożywienie drogą wymiany resztek ubrania, które jeszcze pozostało z darów amerykańskich. Czasami tylko udawało się jej kupić jakieś produkty żywnościowe za pieniądze przysłane od Taty pochodzące ze skromnego żołnierskiego żołdu.

Tu podobnie, jak w lasach na Niawrusie wyprawy po pożywienie do okolicznych wsi były niebezpieczne. Taka wyprawa trwała nieraz cały dzień, a ja nie czując nawet głodu (bo na cały dzień zostały w garnku tylko dwa zimne ziemniaki) wypatrywałam jej powrotu w oknie, zalewając się łzami. Do głodu i choroby dołączył niepokój o losy Ojca na wojnie. Po bitwie pod Lenino przychodziły do polskich rodzin zawiadomienia „poległ na polu chwały”. Po długich dniach bolesnego oczekiwania nadeszła upragniona wiadomość – „żyję” a do mnie Ojciec napisał: „Tatusz jest na prawdziwej wojnie”.



Emilia Świątecka po powrocie z zesłania

Tymczasem Mamie, jako nauczycielce, zaproponowano organizację polskiego domu dziecka dla osieroconych dzieci zesłańców, umieszczonych w rosyjskich sierocińcach, porzucanych w całym obwodzie archangielskim. Inicjatorem tego przedsięwzięcia był tzw. Związek Patriotów Polskich powołany do życia przez „czerwoną” Wandę Wasilewską. Mama wyraziła zgodę na tę propozycję, by ratować polskie dzieci. Wiele z nich trafiło do rosyjskich domów dziecka w wieku przedszkolnym lub nawet niemowlęcym. Nie pamiętały swoich rodziców i nie mówiły po polsku. Rodzeństwo często rozdzielano i starsze dzieci, które były świadome swojego pochodzenia, swojej tożsamości nie mogły chronić młodszych.

Takie to dzieci zbierała moja Mama z archangielskiego obwodu w punkcie zbiornym w Kotłasiu nad Dźwiną. Pomagały Mamie panie: Stefania Klementowska, Eugenia Flis, Helena Chudzik, Janina Baraniecka, Anna Moroz, Jadwiga Marciniakowa, Janina Litwinowiczowa, Genowefa Ratajowa, Anna Biesiekierska i inne.

Udało się zgromadzić ponad 100 polskich sierot, w tym także i dzieci żydowskich, których rodzice byli obywatelami polskimi. Niestety pomimo usilnych zabiegów nie udało się wyrwać wszystkich dzieci z sowieckich rąk. Uznano je za obywateli Białorusi bądź Ukrainy, pomimo iż pochodziły z polskich kresowych rodzin. Wśród tych zatrzymanych były dzieci o nazwisku Wasielewscy. Ich matka przed śmiercią prosiła rodaków o zabranie sierot do Polski. Władze sowieckie uporczywie odmawiały wydania tych właśnie dzieci. W którymś momencie powiedziano mojej Mamie: „masz dziecko, to pilnuj abyś go nie straciła”. Mama usiłowała kilkakrotnie zainteresować losem tych dzieci także władze Związku Patriotów Polskich, ale bezskutecznie. Przez całe dalsze życie wracała myślą do tych sierot i wyrzucała sobie, że nie potrafiła ich odzyskać.

25 maja 1944 roku dzieci wraz z polskimi wychowawczyniami przewieziono z Solwyczegodska na południe ZSRR, do Stawropola nad Wołgą, obwodu (obłasti) Kujbyszewskiego (carska Samara). Wyjazd poprzedzony był przygotowaniami – dzieciom ogolono głowy w obawie przed wszawicą. Podróż na południe, pociągami trwała kilka tygodni. W Stawropolu czekał na nas przestronny Dom Dziecka i rosyjska dyrektorka (przyjazna Polakom!) Tatiana Maksymienko. Przy Domu Dziecka otworzono polską szkołę. Mamę mianowano „zaw-uczem” - odpowiedzialną za nauczanie. Oprócz wyżej wymienionych pań zostały zatrudnione jako nauczycielki: Stanisława Onichowska, Stefania Gruszewska, Emilia Porębska, Stanisława Rogozińska, Maria Biesiekierska (córka p. Anny) i Bełchatowska. Z personelu technicznego muszą być wymienione: Zofia Ratajowa (zatrudniona jako kucharka), Kowalewska (magazynierka), Ludmiła Kuźniecowa (pomoc kuchenna). Sekretarzem Domu Dziecka był polski Żyd o nazwisku Fejszter, a lekarzem o wysokich kwalifikacjach Izabela Lewin, także żydowskiego pochodzenia.

Zaczęła się nauka, repolonizacja (wiele dzieci mówiło tylko po rosyjsku), wychowanie patriotyczne, na co rosyjska dyrektorka przymykała oczy, chociaż bywały też „zajęcia ideologiczne” narzucone odgórnie. Znikło widmo głodu, racje żywnościowe były wystarczające. Pojawiały się czasami nawet słodczyce. Dziewczynki zostały ubrane w jednakowe, ciemnofioletowe sukienki i sweterki. Szczególnym wyrazem odrębności narodowej były bójki naszych chłopców z „malczikami” z rosyjskiego, pobliskiego domu dziecka. Polscy chłopcy rusza-

li do natarcia z okrzykiem „hajże na Soplicę”. Starsze dziewczynki uczyły nas polskich piosenek. W naszym Domu Dziecka było też sporo dzieci powyżej czternastego roku życia. Im wszystkim ujęto lat, by nie objął ich obowiązek pracy i by ułatwić im powrót do Polski.

Moją Mamę dosięgła tam malaria tzw. trzeciaczka. Którejś nocy wysoka temperatura powyżej 40 st. C gwałtownie opadła, doszło do zapaści naczyniowej. Pośrodku nocy, przerażona poszłam sama po pomoc do naszej lekarki, Izabeli Lewin. Przyszła zaraz, wstrzyknęła kamforę i jakoś wyprowadziła Mamę z tego krytycznego stanu. Nawroty malarii nękały ją jeszcze po powrocie do kraju. Warszawscy lekarze byli bezradni wobec tej choroby. Dopiero wyleczył Mamę wojskowy lekarz rosyjski, stosując chininę. Było to w 1946 roku w Sopocie gdzie osiedliliśmy się na stałe.

Już na początku 1945 roku w Stawropolu wszyscy zaczęli żyć mocniejszą nadzieją rychłego powrotu do Polski. My, dzieci, także śledziliśmy posuwanie się frontu w głąb naszego kraju. Nikt z nas nie przypuszczał wówczas, że nie jest to zapowiedź upragnionej suwerenności naszej Ojczyzny. W 1946 roku dzieci wraz z personelem powróciły do kraju. Te, po których nie zgłosili się krewni zostały przewiezione do domów dziecka w Łapinie i Sztumie, a później część z nich do Gdańska i Sopotu. W życiu dorosłym większość z nich osiedliła się na Wybrzeżu, zakładając własne rodziny. Swoim dzieciom stworzyły normalne warunki życia, ale trauma tamtych sierocych lat i poniewierki wycisnęła na nich niezatarte piętno.